

̄n | 2248/P

Czesław Kisły

© ARCHIWUM WSKROBIE

ul. Wańkowicza 20 m 45

10-684 O L S Z T Y N

telefon 42-88-58

W S P O M N I E N I A

SYBIRAKA Z AŁTAJSKIEGO KRAJU

## WSPOMNIENIA

### Sybiraka z Ałtajskiego Kraju

Pierwszy dzień Wielkanocy 1941 roku na zawsze utkwiał w mojej pamięci. Zamiast świątecznej radości stał się dniem goryczy i bezgranicznego smutku.

W tym właśnie dniu, w czasie gdy byłem z mamą w ikażnieńskim Kościele, NKWD aresztowało mojego Ojca. Rozpaczliwy płacz młodego brata Piotra oraz trzyletniej siostry Bronisławy, biegnących boso, bez odpowiedniego ubrania, parę kilometrów, nam na spotkanie, zwiastował początek nieszczęścia naszej rodziny.

Czyż by za to, że ogromnym wysiłkiem całego pokolenia dorobiono się, w mniemaniu NKWD kułackiego majątku, a może za to, że rodzice udzielali wsparcia i pomocy ukrywającemu się młodemu sąsiadowi i krewnemu, Józefowi Pożarskiemu, który w 1940 roku uciekł, w czasie deportacji jego rodziny na Syberię, a może po prostu tylko za to, że byliśmy Polakami?

Wyrok był dla nas nieubłagalny-Syberia-Ałtajski Kraj!

20 czerwca, o świcie 1941 roku, łomotanie kolby nkawudskiego karabinu w drzwi domu, a następnie pośpieszne ładowanie na furmankę, rozpoczyna naszą... "drogę przez mękę"-ośmioletniego autora wspomnień, trzydziestoczteroletniej mojej Mamy Stanisławy Kisły-Szachłańskiej oraz pięcioletniego brata Piotra i trzyletniej siostry Bronisławy.

Na stacji kolejowej w Baranowiczach mnóstwo podobnych nam zesłańców. Upychają wszystkich do towarowych wagonów i starannie zamykają drzwi od zewnątrz. Straszny tłok, brak powietrza. Na próżno ktoś błaga o wodę, ktoś inny bezskutecznie wzywa pomocy.

Pociąg - widmo rusza, ale na którejś stacji niespodziewanie zatrzymuje się. Pojawia się iskierka nadziei, jednak jakże ona była złudna, bo oto nkawudziści siłą wyciągają z wagonów mężczyzn. Formują z nich pieszą kolumnę, która zmierzać będzie na miejsce masowej kaźni, w byłym klasztorze Berezwezewo. Tam też, wśród wielu tysięcy, zginął, wcześniej aresztowany mój Ojciec.

Rozpaczliwy płacz żon i matek, głośny przejmujący płacz osieroconych dzieci, jak pamiętam, w swoisty sposób łączył się ze złowrogimi krzykami oprawców oraz zgrzytem pośpiesznie ryglowanych drzwi. Był to trudny do opisania pierwszy tragiczny epizod naszej podróży.

Pociąg ruszył dalej. Moja „mała ojczyzna” szczęśliwego dzieciństwa rozprysła się jak bańka mydlana. Zniknęła na zawsze malowniczo położona Zotwica w powiecie Braśławskim, a przede mną wyraźnie zarysowała się perspektywa katorżniczej, syberyjskiej tułaczki. Po czterech tygodniach psychicznie i fizycznie wyczerpującej podróży, w zamkniętych, dusznych, nadludzko przepełnionych wagonach, najczęściej bez wody i gorącej stawy, dotarliśmy do celu. Wielu jednak tej drogi nie wytrzymało. Ich ciała, pozostające często przez kilka dni w wagonach, a zabierane dopiero na stacjach postoju, znaczyły przebyty szlak skazańców od Baranowicz na Wileńszczyźnie do Bownaufu w Ałtajskim Kraju.

Rozmieszczono nas w drewnianych barakach otoczonych drutem kolczastym. Na niewielkie prycze lokowano po kilka rodzin. Obok nas jest pani Milkiewicz z pięciorgiem małych dzieci. Męża jej, razem z innymi mężczyznami wyprowadzono z wagonu na niechybną śmierć w Berezwezwewie. Jest też rodzina Czeronkowych. Wszyscy są przerażeni niepewnością jutra oraz wyjątkowo trudnymi warunkami. Ktoś inicjuje... "Pod twoją obronę"... słowa żarliwej modlitwy połączone z rozpaczliwym płaczem, wypełniają wnętrze ponurego baraku, jednak seria z automatu, oddana ostrzegawczo w górę, wymusza ciszę i posłuszeństwo. Obozowe życie przybiera normalny, ustalony tok.

Za wyjątkiem młodszych dzieci, wszyscy muszą pracować, a wykonanie katorżniczej normy jest jedyną podstawą otrzymania skromnego wyżywienia. Mamę moją skierowano do pracy w pralni. Mnie natomiast przypadła rola opiekuna brata i siostry oraz małych dzieci, z niektórych rodzin.

W kilka dni, po osadzeniu nas w barakach, przeprowadzono spis kontrolny. W związku z tym, że prawie wszyscy wywodziliśmy się z ziem wileńszczyzny, wcielonych po wkroczeniu Armii Czerwonej we wrześniu 1939 roku do Republiki Białoruskiej, wszelkimi sposobami próbowano "zrobić" z nas Białorusinów.

Na szczęście, nieliczni, oszukani głównie obietnicami poprawy bytu, oraz wolności, wyrazili na to zgodę, podpisując własnoręcznie stosowny dokument. Stali się oni, tym samym, obywatelami ZSRR. Straszny ich czekał los. Kiedy my wracaliśmy w 1946 roku do Polski, oni, jako Białorusini, pozostawali na miejscu. Wprawdzie część z nich wcześniej przedostała się do tworzącej się armii gen. Andersa a część po wielu staraniach i dokumentowaniu obywatelstwa polskiego, w późniejszym terminie wróciła do kraju.

Była to, uważam, osobista tragedia zastraszonych i oszukanych ludzi. Mama moja kategorycznie odmówiła podpisania takiego dokumentu. Pamiętam dokładnie, jak oświadczyła prowadzącym spis enkawudzistom, że jest Polką i jej dzieci są Polakami, że woli cierpieć i zginąć jako Polka. Do dziś dnia, cenię ją za to. Ktoś mógłby powiedzieć, że patetyczne słowa, a była to, w tamtych strasznych czasach życiowa mądrość, bezgraniczna odwaga i więź prostej, niewykształconej rolniczki ze swoją Ojczyzną - Polską.

Minęło lato. Rozpoczęła się surowa, syberyjska zima. Nieszczelne baraki ogrzewane były jedynie blaszanymi piecykami, ustawionymi w środkowym przejściu. Straszliwe zimno. Wilgotna pościel i ubrania przymarzają do ścian. Rozpoczynają się masowe zachorowania, głównie na tyfus i szkarlatynę - brak jakiegokolwiek pomocy lekarskiej. W ogóle nie ma żadnych leków. Ludzie umierają masowo. Widok zmarłych, owiniętych jedynie w prześcieradła lub ułożonych w prowizorycznie skleconej trumnie, ciągniętych na sankach na tzw. cmentarz, staje się codziennością, już nikogo nie szokującą. Umiera również moja siostra. Osłabiony wycieńczającą chorobą, malutki organizm, broni się, chce jeszcze żyć. Nie możemy jej jednak pomóc. Jesteśmy bezradni. Pozostaje jedynie rozpacz i bezgraniczny żal. Ciężko choruje też moja mama. Jestem zrozpaczony. Na szczęście jednak, kryzys mija. Pozostajemy we trójkę, wśród żywych, ale całkowicie wycieńczeni i głodni. Trwająca od 22 czerwca wojna z Niemcami, jeszcze bardziej komplikuje naszą i tak bardzo trudną sytuację. Odczuwalnie zmniejszono porcje w stołówce obozowej. Nieosolona zupa z brukwi, zgniłe ziemniaki lub buraki pastewne oraz mikroskopijna porcja tzw. chleba, stało się powszechnym naszym wyżywieniem. Zaspokojenie głodu było sprawą życia lub śmierci. Z innymi dziećmi rozpoczynam wędrówkę po śmietnikach. Nie daje to praktycznie prawie żadnego rezultatu.

Nikt w głodnym mieście nie wyrzucał odpadków żywności, ale oto w pamiętny dzień grudnia, grzebiąc w śmietniku stołówki Zakładów Zbożowych, znajduję ziemniaczane obierki, które jak najdroższy skarb niosę do baraku. Ugotowane i okraszone olejem, zdobytym przez mamę, za obrączkę ślubną oraz ubranka, po nieżyjącej siostrze były najlepszym przysmakiem, jaki kiedykolwiek w życiu jadłem.

Wigilia Bożego Narodzenia wyjątkowo smutna. Na dworze szalała burza śnieżna. Śnieg wciskał się szparami do baraku. Piecyki rozpalone do czerwoności, ogrzewały jedynie najbliższych parę metrów powierzchni.

Siedzieliśmy z bratem na pryczy, przytuleni do mamy, głodni i zziębnięci. Łzy same napływały do oczu.

Ktoś zaintonował "Wśród nocnej ciszy". Wszyscy, jak pod batutę, włączyli się do śpiewu. Cicho, ale uroczyście, popłynęły melodie kolejnych, pięknych polskich kolęd. Z braku opłatka, zaczęto dzielić okruszynkami chleba, <sup>zawsze</sup> zewsząd padały życzenia przetrwania i szczęśliwego powrotu do kraju.

Ilekcóż później, już w Ojczyźnie zasiadałem z rodziną do wigilijnego stołu, przypominała mi się, ta pierwsza Wigilia na zesłaniu - smutna, ale jakże wzruszająca, bardzo biedna, ale równocześnie uroczysta, łącząca niewidzialną nicią wszystkich skazańców.

Przyszła wiosna 1942 roku. Promienie słońca ogrzały baraki. Zaczęliśmy suszyć spleśniałą pościel, a głównie likwidować wszy i pluskwy masowo atakujące wszystkich mieszkańców.

Kto nie doznał tej straszliwej plagi, chyba nie jest w stanie, wyobrazić widoku ludzkiego ciała pogryzionego przez <sup>zarłocze</sup> insekty i pokrytego ropiejącymi, rozdrapanymi strupami.

Głodni ludzie ruszyli na pobliskie łąki i pola. Gotowana komosa i pokrzywa stała się dla nas wszystkich, zbawienną potrawą wzmacniającą nadwątłone siły, po pierwszej syberyjskiej zimie.

Tegoroczna jesień była wyjątkowo tragiczna dla Polaków mieszkających w barakach obozowych.

W pierwszych dniach października - wszystkich załadowano na barki rzeczne i z biegiem potężnej rzeki Ob, wysadzano po kilka lub kilkanaście rodzin, na bezludny brzeg w syberyjskiej tajdze.

Stamtąd najczęściej pojedyncze rodziny zabierane były do miejsc przymusowej pracy, w różnych przedsiębiorstwach, głównie w tzw. lesozagatowkach. Podzieliliśmy los innych.

W grupie kilkunastu rodzin, wysadzono mnie z mamą i młodszym bratem na brzeg w pobliżu ujścia Starycy do Obu. Miały przyjechać tu po nas furmanki. Czekałyśmy w tym dniu na próżno. Zapadła noc.

Wiał silny, chłodny wiatr oraz padał gęsty śnieg. Niewiele pomagało rozpalone ognisko. Przerażliwy płacz, zmarzniętych dzieci, wołanie o pomoc bezradnych matek, utkwiło na zawsze w mojej pamięci, jako jeden z kolejnych, tragicznych epizodów mojej syberyjskiej tułaczki.

Na drugi dzień, w południe, zjawiły się furmanki. Naszą trójkę zabrał na sanie, stary, nędznie ubrany człowiek - Mikołaj Jakubowski, który oświadczył nam, że jedziemy do odległej - lesozagatowki w Czemyszu. W ciągu niespełna dwóch dni podróży, w głąb dziewiczej tajgi, woźnica okazał się człowiekiem wyjątkowo wyrozumiałym i współczującym. Twierdził, że sam jest prawdopodobnie potomkiem polskich zesłańców, po którymś powstaniu.

Tylko jemu mój brat zawdzięcza życie. On właśnie zorientował się, że Piotrek zamarza, rozcierał go śniegiem, poił, sobie znanym, rozgrzewającym napojem i okrywał, jak syna, własną kufajką.

Czumysz, okazał się małą osadą, składającą się z kilku ziemianek oraz pięciu drewnianych chałup, stojących na brzegu dopływu rzeki Starycy.

Ulokowano nas w ziemiance, której malutkie okienko ledwie wystawało nad ziemią. Pamiętam, że w czasie sławetnych, syberyjskich buranów /silnych zamieci śnieżnych/ zaśypywało całkowicie naszą ziemiankę. Chcąc się wydostać na zewnątrz, musieliśmy drążyć głęboki tunel w śniegu. Czekala nas tu ciężka praca. Byłem w brygadzie przygotowującej powrozy do wiązania, spławianego latem, drewna do Nowosybirsk. Pamiętam, że ręce miałem pokaleczone linami, nie goiły się rany, ale nie bacząc na to, musiałem bezwzględnie wykonać ustaloną normę, gdyż w przeciwnym wypadku, nie miałbym zaliczonej dniówki, a tym samym nie otrzymałbym żywności.

Mama natomiast bardzo ciężko pracowała w lesie przy wyrębie drzewa. Widziałem, jak z każdym dniem, traci siły. Katorżnicza praca na mrozie, bez odpowiedniego wyżywienia i ubrania, niszczyła jej wątły organizm, ale myślę, że jedynie jej silna wola i macierzyńskie poczucie opieki nad nami utrzymywało ją przy życiu.

Nie mieliśmy żadnych zapasów żywności, a zaopatrzenie mieszkańców Czumysza w artykuły spożywcze, zwłaszcza zimą, odbywało się sporadycznie, stąd tygodniami nie otrzymywaliśmy należnej nam żywności. Gdyby nie serdeczna pomoc miejscowych ludzi, skazani bylibyśmy na niechybną śmierć głodową. Sami oni głodowali, ale mimo to dzielili się z nami ostatnim kawałkiem chleba.

Podobnie jak my, byli zesłańcami. Różne koleje losu przywiodły ich do Czumysza. Z rozrzewnieniem wspominam członków rodziny Jakubowskich, Iwanowych, Balajewych, którzy traktowali nas, jak swoich krewnych. Ich dzieci, a moi rówieśnicy, nauczyli mnie zdobywać i wykorzystywać dary syberyjskiej tajgi.

Z nastaniem wiosny 1943 roku pojawiło się w tajdze, a zwłaszcza na brzegach rzek, niewyobrażalne mnóstwo komarów. Bez maski z gazy lub odpowiednio spreparowanego kadzidła trudno było wytrzymać. Mimo stosowanej profilaktyki, widocznie jako mało odpowiadający, zachorowałem na malarię. Ataki choroby błyskawicznie zaczęły się nasilać. Nie było lekarstwa. Z każdym dniem traciłem siły i tylko staruszce, Antoninie Biełajewej, zawdzięczam życie. Jej znanym sposobem wyleczyła mnie. Ciągle mnie przy tym powtarzała - "synok, ty dożen żyć, ty dożen wiernutsa w Polszu"!

Pod koniec lata tego roku, jeden z członków załogi holownika, przekazał mamie, pracującej wówczas, po pas w wodzie przy wiązaniu dłużycy do spławiania, żywością dla nas informację, że podpisano jakąś umowę z Polską, a w Barnaule utworzono Urząd polski, w którym należy się zorientować. Mimo usilnych starań, mamie nie dają kilkudniowego urlopu. Mnie przypada rola posłańca. Po wielu kłopotach, zmęczony i chory docieram do Barnaułu. Od przypadkowo spotkanej znajomej, z baraków obozowych, pani Ireny Pupin, dowiaduję się o uprawnieniach Polaków w myśl zawartej umowy oraz możliwości zatrudnienia nas w Zakładach Zbożowych. Niestety, naczelnik Lesozagatowki, nie chce wyrazić zgody na nasz wyjazd. Planujemy ucieczkę. Pieszko przez sobotnią noc i niedzielę docieramy do najbliższej przystani rzecznej na Obie i dalej parostatkiem do Barnaułu. Kiedy dziś to wspominam, jestem prawie pewny, że gdyby nie życzliwa informacja i nasza zdeterminowana ucieczka, pozostalibyśmy w Czumyszu, może do końca naszego życia.

Kto by wiedział, że gdzieś w głuchej, dalekiej tajdze mieszka pojedynczo polska rodzina.

Może tak jak Jakubowskich, moje wnuki lub prawnuki mówili by kiedyś, że prawdopodobnie wywodzą się oni, z rodziny polskich zesłańców.

Barnauł nie przyjął nas famfarami.

Z wielkim trudem i przy wydatnej pomocy pani Pupin, mnie oraz mamę przyjęto do pracy w Zakładach Zbożowych przy ulicy Promyszelnojj 14. Mamę w charakterze tragarza. Musiała na własnych, kobiecych plecach, zmęczonych dotychczasową katorżniczą pracą, przynieść na znaczną odległość ciężkie worki z mąką lub zbożem.

Chociaż z pracy wracała całkowicie wyczerpana, twierdziła, że jest szczęśliwa, bo często narażając się na dekonspirację i surowy wyrok pod podszewką kufajki, mogła przynieść do domu kawałeczek surowego ciasta lub parę garści kaszy.

Cieszyła się, że nie cierpimy głodu. Otrzymywaliśmy również kartki żywnościowe. Nasze życie uległo znacznej poprawie.

Ja pomagałem sprzątać magazyny zbożowe oraz wagony, a w domu byłem głównym kucharzem.

Mieszkaliśmy na korytarzu klubu przyzakładowego, w pomieszczeniach, którego zakwaterowano rodziny Polaków pracujących w Zakładach.

Spotkaliśmy tu naszą <sup>ych</sup>znaną <sup>ych</sup>i przyjaciół-nieliczną już niestety rodzinę Milkiewiczów oraz Połosów, Ściłbowych i wielu innych.

Klub, w którym mieszkaliśmy stał się nieoficjalnym, można by rzec, utajnionym ośrodkiem oświaty i kultury polskiej.

Nauczycielka, pani Bobrowicz oraz Irena Pupin uczyły nas języka ojczystego, wierszy i piosenek polskich, opowiadały o kraju, do którego kiedyś napewno wrócimy.

Myślę, że podobnie jak inni uczestnicy tych spotkań, jestem wdzięczny tym Paniom, które narażając się na surowe konsekwencje budziły ducha polskości w naszych sercach i umysłach, przybliżały nam, jak że jeszcze odległy rodzinny kraj.

Wczesną wiosną 1946 roku pierwszym transportem z Barnaułu wyjeżdżamy do Polski. Na dworcu entuzjazm i trudna do opisanego radość. Łzy szczęścia cisną się do oczu.

W myślach rodzą się wciąż nowe pytania: czy żyje ojciec? Kiedy go spotkam? Gdzie w Polsce będziemy mieszkać? Jaka przyszłość czeka mnie w wyśniewanej i wymarzonej Ojczyźnie?



W kwietniu przekraczamy granicę. Droga prowadzi na tereny  
obecnego województwa zielonogórskiego.

Jednak nie dane było mnie tam bezpośrednio dojechać.

Ciężko chory zostaję w szpitalu Świętego Łazarza w Krakowie.

Jest właśnie pierwszy dzień Wielkanocy, ale jakże inny, niż ten  
z 1941 roku. Dobiegający do sali szpitalnej spiżowy głos Dzwonu  
Zygmunta, zwiastuje nowy, szczęśliwy etap w moim życiu.

Fragmentaryczne wspomnienia z syberyjskiej  
tułaczki, nie są chęcią użalania się nad ciężkim moim losem,  
ponieważ uważam, że los innych skazanych na męczeńską śmierć  
w miejscach masowych kaźni oraz więźniów łagrów Gułagu,  
być nieporównywalnie surowszy i bardziej tragiczny.  
Chciałem jedynie dać świadectwo jednostkowego doświadczenia,  
polskiego dziecka skazanego na syberyjską poniewierkę od czerwca  
1941 do kwietnia 1946 roku.

